

TYM razem zaczęło się na wesoło. Z dawna oczekiwanym musical Lerner'a i Loewe'go „My Fair Lady”, po wieloletnich triumfach na scenach całego świata, przebrnął wreszcie barierę naszych oszczędności dewizowych i dotarł do Warszawy, na deski żoliborskiej Komedii. Przez te lata stał się po prostu tańszy. Ale na szczęście odnosi się to tylko do finansowej strony całej sprawy. Wszystkie inne wartości pozostały w zasadzie nienaruszone, a może nawet podniesione zaletami przekładu Antoniego Marianowicza i Janusza Minkiewicza. Tu zwłaszcza należy podkreślić wkład Janusza Minkiewicza, który dał polskie teksty piosenek, lekkie, dowcipne, harmonizujące z melodiami. Wiele z nich to powszechnie już znane szlagiery: „Przetańczyć całą noc...”, „Te uliczki znam wiele, wiele lat...”. Te piosenki będą się podobały wszystkim. Ale naprawdę ocenić mistrzowski warsztat Minkiewicza może tylko ten, kto kiedykolwiek próbował przekładać angielskie teksty piosenek. Minkiewicz swobodnie pokonał opór języka polskiego i zmusił go do służenia treści, dowcipowi i melodii tych piosenek. To niezrównane osiągnięcie.

Na szczęście, cała ta praca nie poszła na marne, jak to zwykle

bywa — bowiem zespół teatru Komedia poza nielicznymi wyjątkami stara się przekazać widzom słowa śpiewane bez zniekształceń. O dziwo, nawet orkiestra nie zagłusza tekstów, mimo że muzyka towarzyszy prawie całemu spektaklowi. W ogóle, jest to bardzo ładne,

zbyt szare i banalne. Natomiast ładne na ogół kostiumy zaprojektowała Krystyna Zachwatowicz.

Rolę tytułową gra Barbara Rylska, wesoło, dynamicznie. Zbiera zasłużone oklaski. Z piosenek w jej wykonaniu najlepsza była chyba ta zaczynająca

Andrzej Jarecki

Wesołe otwarcie sezonu

sprawne i pełne wdzięku przedstawienie. Przypuszczam, że duża w tym zasługa choreografa, którym był Thomas Andrew, fachowiec od tych spraw z USA. Niewielki zespół baletowy Komedii nie dał mu najlepszych możliwości, a mimo to stworzył on szereg świetnych, dynamicznych tańców, które nadają przedstawieniu doskonały rytm i tempo. Dają artystyczny poziom.

Najgorsze są dekoracje skomponowane przez Kazimierza Wiśniaka, skądinąd znanego malarza i rysownika. Ale to, co zrobił dla Komedii, wydaje się

się do słów „Czekaj-no Higgin'szczaku!...” Profesora Higginsa, specjalistę od fonetyki języka angielskiego i znakomitego znawcę angielskich dialektów gra i śpiewa gościnnie aktor Teatru Dramatycznego Edmund Fetting. Złe maniere profesora pokazuje w całkiem dobrym tonie. Dość powściągliwie gra pułkownika Pickeringa Cezary Jułski.

Prawdziwym zaskoczeniem jest Alfred Doolittle, pijak i oryginalny moralista, w wykonaniu Wojciecha Rajewskiego. Dwie dowcipnie cyniczne piosenki zaśpiewane przez niego na-

leżą do prawdziwych przebojów tego przedstawienia.

Z pobieżnego zestawienia osób działających łatwo można się zorientować, że „My Fair Lady” jest niczym innym, jak muzyczną przeróbką „Pygmaliona” G. B. Shawa — jednej z najbardziej popularnych komedii tego pisarza. Jest to po prostu „Pygmalion” z piosenkami — klasyczna pozycja bogatej już dzisiaj teatralnej literatury musicalowej. Od tego się zaczęło. Jeśli nawet nie jest to wynalazek naszej epoki, to przecież ta próba znalezienia kompromisu między głupotą operetki a powagą dramatu bardzo jest dla



naszych czasów charakterystyczna. Godziwa rozrywka, albo teatr problemowy dla wszystkich — takie są środki, przy pomocy których teatr stara się konkurować z filmem i telewizją. Ostatecznie jednak i to trafia na ekran, o czym będziemy się mogli kiedyś przekonać, gdy dawno już nakręcony film „My Fair Lady” z Audrey Hepburn stanie i trafi do Warszawy. Tymczasem przygotowujemy się na kilkadziesiąt przedstawień tego musicalu w Komedii. Wcześniej jak za trzy, cztery lata publiczność nie da chyba zejść Barbarze Rylskiej ze sceny.

Niestety, mało jest sztuk, które mają takie powodzenie, i pozostałe teatry będą musiały od czasu do czasu dawać nowe premiery, o czym jako recenzent u progu nowego sezonu myślę z przerażeniem. Przecież Polak chodzi do teatru mniej więcej raz na dwa lata. Ja chodzę przynajmniej raz na tydzień, a czasem i częściej. Ale mimo to, a raczej właśnie wskutek tego wcale nie staję się lepszym Polakiem. Gorzej: czasem już doprawdy mam tego wszystkiego dość. Przestaję być człowiekiem i staję się szakalem. Krytykuje. Zostaję znienawidzony, i to jest moja jedyna satysfakcja. Obym miał jej w tym roku jak najmniej.